Cienie (fotografie ze wsi) — Listy ze wsi. — 1

I.

W jednej z górskich parafii wysypała się z rannej mszy przed kościół gromada ludzi... Idę pomiędzy nich, a znajomi ściskają mi ręce i witają serdecznie...

– Cóż tu u was słychać? – pytam, odwzajemniając pozdrowienia.

– Zawdy jedno panie. Bieda i bieda. Inszego nie usłyszycie...

– Ona to – dorzucił drugi – pcha się drzwiami i oknami do chałupy, że nie sporada się ognać...

– Nie puszczać! – mówię.

– O panie! dyć się broni człek, jak może, ale ręce ustają i rozumu nie wystarczy... Zatkasz jedną dziurę, to się druga otworzy – i tak zawdy...

– Hej! – potwierdziła gromada.

Zasępienie w twarzach – w oczach turbacya. Robią wrażenie zagnanych na rzeź owiec.

– O Jezusieńku! zmiłuj się nademną... – jęczy kobieta jakaś sucha, jak szczypa i wyciąga ręce do drzwi kościelnych.

– To wdowa Komornica biedna, ta z Kozinieck... – objaśnia stojący obok mnie, gazda – Biedactwo! miała ino zagon ze ziemniakami, nic więcej – i przyszły dziki te nocy, z [illegible] lasu – i przewróciły do imentu...

– Będzie ta kopać biedy! mocny Boże... – litowały się kobiety, poprawiając na ramionach chustki...

– Żeby też kto te dziki od nas wyprowadził – gwarzyli między sobą – tak się nam gromada złożyła...

– Dyć tu był raz wędrowny. On by je był wywiódł... – objaśnił leśny – Hale cóż, kie się bał księżego na się ozgniewać...

– To niech położy na nie, abo co!... – rzuciła gazdzina.

– A cóż by chowali? Dziwniście wy! – rozśmiał się sąsiad i splunął złośliwie przez zęby.

– Przyjdą zbiórki, to pilnuj noc po nocy, boby ci wszystko zjadły. Że też na świecie nikogo nima, coby się tem zajął. Dziś nie wróżnie, bo kany? to jeszcze dziki zepsują. Kielo bied na świecie – to się wszystkie do nas zwalą. Labogą! cóż się to dzieje?

– Moiściewy! – tłómaczy jej kumoszka z gorzkim uśmiechem – Już to tak będzie... Darmo! My światu nie uprawimy.

– Są ludzie, którzy myślą o jego naprawie – wmięszałem się.

– Bóg im pomóż!... – podniosły w górę oczy – Ale nim słonko zejdzie, rosa oczy wyje...

— Lepiej zdać się ze wszystkiem na Pana Boga i czekać końca — ozwał się z przekonaniem Król, zwany także Monarchą...

— Tak, tak — potwierdził przechodzący organista — Kogo Pan Bóg stworzy, to go nie umorzy...

— Nadzieja w Bogu, a w torbie syr... — szepnął za nim złośliwy „Kumotr z nad Miedzy."

— Wtóry cię psiamać bieda sobacza... — klął po cichu zdecydowany pesymista od urodzenia i spluwał raz po razu.

Z furtki kościelnej wyszedł ksiądz wikary... Lud runął się mu do rąk, całując ze wszystkich stron.

— Czemu nie idziecie do domu — zapytał.

— Dyć jegomościu! ni ma po co, bo tam bieda...

— A coż tu wystoicie?... — przeszedł wśród gromady chłopów.

— Tak se uradzamy....

— Sami?

— Jak nima kota — to myszy radzą — rzucił z przekąsem stary gazda.

— Dyć pono mają dawać zapomogi jegomościczyska. Kochany — wołała płaczliwie niska kobiecina. Ksiądz się zatrzymał.

— To tylko biednym komornikom...

— Dyć my wszyscy biedni! jegomościu! — zawołali.

— Nie ma nic do gęby...

— A na sobie nic nowego..

— Hej!..

Ksiądz odszedł, a oni się rozgwarzyli na nowo, po dzieleniu na mniejsze i większe gromadki. Nie spieszyło im się do domu. Po co? Wiedzieli, że to samo zawdy zastaną: płacz i zgrzyt... Tu przyjemniej ulżą sobie w pogwarce wspólnej, a widmo troski cięższej na chwilę ich odejdzie.

Słońce wytoczyło się wyżej. Kościelny ostatni opuścił kościół i pozamykał drzwi — a oni stali gromadami przed kościelnym kamieńcu. Wreszcie wygadawszy wszystko, co im ciężyło na sercach, a było tego nie mało — poczęli się rozchodzić i tracić pojedynczo... Każdy wpadł po drodze na „maluśką chwilkę" do sklepu, do [illegible] by zborgować zapałki lub kaszy. Ale najwięcej ludzi ciągło się do Abrama, który handluje „wszystkiem." Niejeden wyciągnie worek z zapaski, by [illegible] niesie co, jakiego ziarna, bo trzy dziesiątki czekają — czekają a przykrzy się im [illegible]...

W. R.

grunta
lasy
Koliście i krowa.

II.

Wyszedłem rankiem z chatynej pod lasem i począłem schodzić na dół wzgórz ścieżyną wśród zieleniejącego się po ugorach owsa. Byłem już za potokiem, kiedy usłyszałem tam suche, astmiczne chrząkanie poza sobą i równocześnie dobiegł mię nagły przytłumiony, chrapliwy głos:

— Zaczekajcie panie, to się nam pójdzie raźniej... Stanąłem. Niski chłopina spuszczał się wolno z urwiska koło jałowców, podpierając się zakrzywionym kosturem.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał już z bliska.

— Na wieki. Dusi was?

— A dusi zawzięta psiamać chrypota...

— I nogi was bolą?

— A bolą... odparł, dysząc ciężko. — Dusność ta się na mnie zawzięła i dusi, a tu wicie i w nogi wlazło. Bieda to, wicie, jak chyci człeka chorość na oba końce...

— Radzicie co?

— Nic nie radzę. Najlepsza rada byłaby, żebyś co zjadł tłustego. A tu nima — bo skąd?.. Je się tę kukurycę i je, [illegible] już i dziś [illegible]... Trzeba coś do tego. Bo, wicie, przy jednej strawie i kot zdechnie. Przyjdzie się dorwać... A tu nimam niskąd, z nikąd, nic...

— Taka u was bieda?

— A bieda, biedka nasza kochana... — zaśmiał się smutno. Idę ta ku kościołu. Mają pono dawać kukurycę darmo, to się może i mnie co dostanie. — Uśmiechał się weselej. Spojrzałem zdziwiony.

— Sprowadzono dla biednych — stwierdziłem, a wyście mnie grunt...

— No! panie, grunt!.. Dyć i mam sześć morgów, jak każdy we wsi. Ale niechaj pan idzie po wsi i spyta się, czy jest by jeden, coby powiedział: „mam co jutro do gęby włożyć"!..

Stanąłem przerażony, jakbym nad głębokim urwiskiem.

— Tak panie, tak — śmiał się gorzko — nie ma takiego w całej wsi, nie ma... Z roku na rok grunt upadają, — nie dziwota! Widzi pan jaki to owiesek!.. — pokazał ręką. — Kłują się ta zielone źdźbła z glinowarki, ale co nam z tego będzie? Jedno ziarnko. Ktoto myszy zjedzą, albo dzikie świnie. Nima co zbierać, nima...

Szliśmy chwilę w milczeniu.

— To widzi pan — prawi — dziad we wsi bogatszy od gazdy. Bo idzie z chałupy do chałupy i dadzą mu... jak nie ta, to ta... A gazda nie pójdzie, nie wyciągnie ręki, bo go wstyd.

— Straszne, doprawdy!..

— Co straszne! — dokończył myśl z gorzkim uśmiechem — Będzie jeszcze gorzej... nadzieja boska... będzie... Kto na to poradzi?
[illegible] potem do dał jakiej uspokojenia myśli:
i [illegible] za nas świat nastał, nie za nas się skończy...

I schodzimy ścieżyną wzgórza, jeden za drugim, mijając odrobnione smreki i stada rozsiadłych po pustych stokach jałowców. Wszystko chłopa milczenie, więc mu zagaduję:
– A coż we wsi?.. Pono była podmucha na żydów?
– Eh głupstwo – odrzekł – wobec tego, co się tu dzieje...
– Panoczku! Całe życie głupstwo – i tyle...
– Bo tu pisały gazety – zaczął znów po chwili – ale nie jednako pisały.

Nie odpowiadałem – ciasne myśli migały mi przed oczyma. Szedłem wśród ugorów, gdzie dla owiec paszy za mało. A tu ludzie żyć muszą, przykuci na wieczność kaleką koniecznością....

– Dziw, że ino nic nie zrobili, bo to lud zawzięty, zbiedzony, uciśniony zewsząd... – mówił idąc za mną. – A ze żydami, to by powiedział, że jak ze wszami na sobie... Gryzą cię i gryzą, a ty się drapiesz i drapiesz – boś niezaradny ostatku jak ostatni dziad... Ha no! pilniejszy brzuch, niźli głowa, bo od niego rozum idzie...

Zakończył sentencyą uśmiechając się cierpko i szedł za mną, utykając i, dysząc przerwami, jak miechem.

Przeszliśmy tak szeroki dział i schodziliśmy w osadę rozsiane czarnemi chałupami nad [illegible]...

Wśród zabudowań spotkaliśmy małego chłopczynę, szedł żwawo prawie pędem po górze boso, w brudnych płóciennikach i obstrzępanym kożuszku. Kapelusz trzymał w obu rękach.
– Ty co niesiesz Jasku?.. – spytał go chłop.
– Kurzyce...
– W kapeluszu ino?..
– Wystarczy. Gazdy nie postali, bo dyć za darmo. Ledwoch się dopchał. Zetrę na śniadanie i zjemy. Ostańcie z Bogiem.
– Mizerota! Widzi pan jak se to umie radzić?..
– I to wszyscy tak biedzą?.. Wszyscy!
– Ho! ho! zobaczy, jaki będzie ścisk koło wozu... – śmiał się cierpko, dysząc, chrapliwie.

Zeszliśmy na Kamienicę, przez wodę i stanęliśmy pod kościołem. Zdala dolatywał nas hałas jarmarczny. Przed organistówką stał wóz drabiniasty, dokoła cisnęli się ludzie i pchali jedni przez drugich. Na wozie chłop jakiś wymachiwał rękami – z boku wójtowie hamowali ludzi, żeby się nie cisnęli, że każdy dostanie. Tłum nie słuchał jednak, ale kłębił i spychał. Kto mocniejszy dostał się do wozu, brał ile mógł i wysuwał się z ciżby. Kobiety, niedorostki i dziady stały na boku, czekając, aż się im co na ostatku dostanie...

Jedne gadają, że na Tarnowem zeszło sześć tysięcy chłopstwa, a inne podały pora tysięcy... Dyć my tu blisko są a nicmy nie widzieli... Ino baby, co szły z miasta z jatkami bez wierchy, to widziały parę trzech chłopów, jak se siedzieli pod szałasem... Czyby ony doniesły?.. a babski strach to wie, że ślepia ma niemałe... Dwoi się mu w oczach wszystko... Ale cosik ta musiało być, bo i sądy zjechały i żołnierzy dali na kwatery. — Ona tu nie bez kozery... Przyszła wieść, na żydków podmuchem, jako że zaraza na ziemniaki

---

Zaniemiałem chwilę i stałem długo zapatrzony w Matusiłowy tłum. Przed mym okiem migały mi twarze znajome „porządnych" gospodarzy, kilku kumornych zagrodników.

— Ale bogaczy się to dzieje? I ci tu przyszli żebrać! — mimowoli wymknęła się myśl, pełna zdumienia.

— A widzi pan! — obok mnie stanął towarzysz z cierpkim uśmiechem. Z katarzu wylatywały wam zdania...

— Nie pchajcie się!..

— Mnie prędy!..

— Ty se możesz kupić!..

— Edy żyjcie bogacze! biednem się nie dostanie..

Sterczał wrogo naprzeciw siebie cały ten szary tłum. Jeden drugiego żarł oczyma, a każdy wyciągał ręce po chęć zapomogi: gazda, komornik i najbiedniejszy dziad.--

---

V Trza iść, bo się mi nic nie dostało... — i posdynie, powlókł się i zniknął w tłum.

„Słowo polskie"

~~15~~

<u>Listy ze wsi</u>: I. Dawna wieś.

II. Dziedzictwa: ~~grunta~~.
wody
lasy

III. emigracya.

IV. Stan moralny – obyczajność
~~V.~~ – religijność

V. Co jutro?... wnioski ekonomiczne.

VI. Czytelnictwo lud.: } podniesienie moralności.
VII. Teatr ludowy. }

<u>Życie</u>.

III. Grunta.
IV. ~~Lasy~~. (powiadłości hrabiego)
V. Krowa i pasterka.
VI. Przy źródle.

„Z podkarpacia"

III.

Szczepan
dzieci (grunt)
baba –
lasy
maliny (naumyślnie)
posiadłości hrabskie
Widok z Turbacza.

Słońce już spadło zaza Babią Górę i toczyło się wielkim kołem ponad ziemne doliny zachodu, kiedy wyszedłem na pierwszą polanę stromego zbocza Gorców. Siadłem na trawie, przebiegając jednem spojrzeniem kilkunasto-milową przestrzeń. Wschód i południe zostały nie zamknięte górami okrwawione zorzą zachodu, niby olbrzymie rdzawe ogniwa rozpalone w ogniu i powiązane w jeden łańcuch. Za to na zachód wzrok leci niezatrzymany, opierając się o Beskid zachodni. W kotlinach szczęśliwe osiedla, bielą się kościoły i Raba wije się kręto dolinami, wydzierając się na szeroką przestrzeń ku północy, za którą [illegible] leciał wzrok, dochodzi myślą do wodły i podwawelskiego grododka. Tak niedawno jak je opuściłem... a już tak dawno!

Siedziałem długo na polance, błędnie spojrzeniem po niezmiernej mozaice zbóż, gdzie płaty zielone niedojrzałego owsa najczęściej zatrzymywały oko, gdzie kłęby [illegible] i trzask gałęzi w przyklasku podemną wyrwały mię z zadumy. Z ciemnego gąszczu wyszły cudawe woły, za niemi wysunął się obdarty chłop.
– Co was też tu pod wieczór przyniesło? – zagadał, zbliżając się ku mnie, z przymilnym uśmiechem.
– Wyszedłem popatrzyć na dół... Ładny widok! – odkarałem mu.
– Ładny, daleki... Ale tu jeszcze ładniejszy
Pokazał na zbocze i westchnął cicho. Wyręby puste, z rzędami pniaków, zaczerwienionych od zorzy zachodniej, ciągnęły się daleko, otaczając nagą strome zbocze gór... Westchnąłem za nim. Pamiętam dobrze te lasy, czarne, świerkowe. Małym chłopięciem latałem tu na grzyby, to wspinałem się po drzewach za wiewiórkami lub wyczekiwałem powracających z polan pasterzy. Znajomym był mi cały las na milę wokoło. Jakie tu smreki były smukłe! Kamieniem nie przecisnąłeś. I to wszystko gdzieś przepadło – za tak niedługi czas... Nim nowe urośnie...
– E, pódziecie wyżej, kaj ku wierchu? – spytał chłop.
Bez odpowiedzi ruszyłem z nim kamienistą drogą, zygzakiem wiodącą do szczytu.
– Były tu lasy, były... – mówił chłop, zaganiając woły – piękne i grube, chrube i wysokie. Same smreki! Ale cóż?... Zachciało się hrabiemu, uczciwszy was, pociechy, żydowskiego łajna i posprzedał do znaku.

Zleciało się żydostwo, jak muszyce, pozakładało tartaki i chyciło się z kraja. Tutejszy naród klął po cichu i powiadał głośno: Niech im, choćby do sądnego dnia. Bo lasy, wicie, były takie, że ich bez trzy dni nie przeszedł... Ale one światowiór skądsi doganiali i ci dopiero ją poczęli trzebić bez pardonu, że nie zostało całkiem, co nam widać...

Wskazał ręką na zboczu Obidowej, gdzie potracone buki zieleniły jasno i sterczały gdzieniegdzie suchymi konarami stare, przegniłe jodle.

– Tylo ino zostało... ha, luda! – pogadał, uśmiechając się krzywo.

– Żal wam tych lasów?

– Ba! Komu-by nie żal było!

Szliśmy powoli, bo kamienista droga podnosiła się coraz stromiej. Dokoła nas obsiadły stada zbutwiałych pniaków, wśród nich pięły się trawy rozmaitą zielenią...

– Dyć zełżyjmy! – rzekł chłop, przystając – wyjdziemy na dróżkę.

Usiedliśmy na pniakach przydrożnych. Woły, nie ... ze sobą poganiacza, zboczyły do wyrębu i poczęły łakomie skubać zwiędłą trawę. Oczy chłopa spoczęły na bydlętach z prawdziwą miłością.

– Niech się tu i one zeżywią, bo głodne... – szepnął sobie.

– A wolno wam paść po wyrębie?

Popatrzał na mnie zdumiony i z pewnym niepokojem, chcąc odgadnąć, jaką myśl miałem w zapytaniu.

– Jak nikt nie widzi, to i nikt nie broni – odparł.

Kiwnąłem głową na znak, że nie widzę. Chłop dumał chwilę, przypatrywał mi się dobry czas, wreszcie począł mówić:

– Bo wy nie wiecie, jaka tu drzewiej była gospodarka. Do lasu należeli wszyscy: tak pani, jak i my. Każdy brał la siebie, kielo chciał, ino sprzedawać nie było wolno. Ludzie wypasowali woły po lesie i brali za nie wiośnie po trzysta papierków. Na wołach zarabiał który, bo trawy było dość i nikt je nie zazdrościł. Ludzie nie byli też łakomi na drzewo, bo go mieli podostatkiem. I nikt się nie pytał, czyje to je albo do kogo to należy, bo góry stoją od początku świata i lasy na nich rosły same, – nikt ich nie zasiewał...

Było tak zawdy i jeszcze za mojej pamięci. Jaże naraz gruchnęło po wsi, że hrabia lasy przedał. Z początku nie chcieli wierzyć, wreszcie tak się gromady zawzięły, że gadają: nie puścimy hrabiego do lasa! Z tego do tego, uwzięła się i niedali dworskim dojeżdżać po ciągi. A nawet powiadali, że się hrabiemu nawet na biczysko nie patrzy z lasa.

Wtedy hrabia więc pościągał wójtów i kazał im się popodpisywać na sprzedaż. Juści się podpisali, ino wójt porębski nie chciał! A bez jednego podpisu ni mógł sprzedać. Toteż więc hrabia napisał do cesarza i ten mu przysłał wojsko na pomoc. Zakwaterowali się po wsi i gadali że nie pójdą, dopokąd wójt się nie podpisze. Porąbali niejednego; dorwali go żołnierze za trybunem i zastrzelili. Wtedy więc dopiero hrabia przedał las, porobił kopce i pozaznaczał granice, pokiela jego, a pokiela gminne. Dostało się za gminom po szczypcie lasu, ale cóż z tego! Kiej one mają walor do całkowitej spółki. Bo więc i połowę poszły do podziału: jedne hrabiemu, drugie chłopom.

Przestał i począł szukać fajki w zanadrzu. Pochylony słuchałem w milczeniu sto razy słyszanej historji.

– Tak więc – kończył, nakładając fajkę – drzewa było pełno dość i mógłbyś przechować ziu bydlęcia, a dziś mało który gazdów posiada woły, bo ni ma kaj paść. Na ugorach ledwo owca co uskubnie. Myśleli-my, że jak lasy wytną, to będziemy paść po wyrębach. A tu więc postanowili leśnych i nie puszczą nawet na jagody... Była zagadka wielga od chłopstwa, jak i w czterdziestym ósmym za mojej pamięci – ale cóż?... Dwory stoją, jak stały, a u nas bieda coraz większa...

Pykał drobno z fajeczki i spluwał i patrzył na mnie prostodusznie. Siedzieliśmy w milczeniu, myśląc każdy swojej i wspólnej biedzie. Wiatr zmiatał wysokie zbożyny i kołysał z szelestem rozłożyste malinniaki. Woły pasły się rzędem ponad drogą.

– E kraść – ozwał się chłop – boby kto nadszedł niechcący...

Wytrzepał fajkę o pniaka, schował do zanadrza i ruszył do wołów, zaganiając je ku drodze.

– Żal wam dusz trawy – mówił do wołów – dobrze, żeście choć tęgo urwały... To się zmarni – pokazał biczyskiem wręby – zeprzeje i zeschnie, a nie dadzą wypaść...

– Za to smreczki podrosną – odrzekłem.

– Kto ta dożyje! Ja, bo nie... he Cisowie!..

Zbliżaliśmy się do szczytu.

– Za przykładem panów idą i nasi chłopy – tłomaczył mi gazda – Co kto ma, to ścina i przedaje, albo więcej na kolej. Nie dziwota, bo bieda dogadza, a głodno wszędzie i głodno, ni ma się czego chycić, to chyta się lasu. Niejeden zetnie smreka, zawiezie Żydowi, to go jeszcze musi prosić, po rękach całować, coby kupił. Żyd się wiela ogania, drozy i kupi za tela, za wiela sam zechce. Wnetki przehandlują chłopy swoje lasy i nic nie będzie, ani na budulec, ani na opał...

Stanęliśmy na szczycie. ~~Chłop popędził woły na korzeniu~~ Z polany okrągłej, widnej, odsłonił się wspaniały widok na ~~dolinę Nowotarską, Spisz, Królestwo Orawskie~~ ogołocone z lasu Gorce.

— Te ~~wsie~~ zręby ~~miejscowe~~ — objaśniał mię chłop — od Lubomierza do Olszówki to posiadłości hrabiego z Poręby... Hale te góry nagie, co stoją przed nami, to hrabiego z Kamienicy, a ~~te~~ pustacie na lewo, to ~~wszystko~~ pana [illegible]... Ładne posiadłości!...

Kiwał głową z przekonaniem i ~~popędził~~ podcinał biczem woły do konaru. Czekałem na niego, patrząc na ~~stojące~~ czerwone ~~ponad pasmem brzegiem górami~~ przedemną ~~[illegible]~~ wschodnie olbrzymie Tatry...

Niedźwiedź w sierpniu 1898.

Z pod Karpacia.

IV.

Ostatnie odblyski czerwonej zorzy padły na szczyt Turbacza. Towarzysz mój zawrócił woły do koszaru i chodził po polanie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Czego szukacie z zawołaniem.

— Patrzę, czy były dziki tej nocy, bo pełno świeżych ryjowisk...

— I cóż?

— A były psie krwie!.. o, tu... pełniuśko śladów...

Chodził, ruszał bicyskiem ziemię i psiakrwował po cichu. Po długiej wędrówce podszedł ku mnie smutny i usiadł na trawie...

— Co ja mam utrapienia z tą przeklętą gawiedzią, to ani wypędzić nie zdołę... Zjadły mi owies pod lasem, ziemniaki zryły, przekopały, że ugryźć nie poradzę... A teraz na polanę przyszły i przewróciły do imentu. Człek ochraniał, nie spał, bedzie — rzekę — szczypta siana, a tu ujrzecie, za przeproszeniem wasz pościwych, świński odchów. Cóż mi tyż nadało, aj co-ka te czasy.. Jezus kochany!

— Polujcie.

— Kie nie wolno. Nie wiecie to, że hrabia ta sobie dziki chowa?

Mrok zapadał coraz czarniejszy. Z polan pasterze zganiali woły do koszarów. Szopy majaczyły w dole jak żydowskie cmentarze. Siedzieliśmy długo w cichym zasłuchaniu. Z wołoki pełzały ku nam zwolna mroczne cienie.

— Ale zanocujecie w kolebie, bo kaz byście szli?.. — rzekł chłop, powstając.

— Zanocujemy..

— To trza przysposobić co na ogień.

Ruszyłem za nim ku kolebie, na drugi koniec polany. Niezadługo naznosił z przylasku suchych gałęzi i pniaków i zapalił w kolebie na glinianej ziemi. Usiedliśmy na progu szatry. Za plecyma trzaskały palące się gałęzie, przed nami noc spokojna i mroczna w dali szczyty. Zimny podmuch przynosił ku nam jednostajny szmer potoku leśnego [illegible] płacz, szepty i głosy niezrozumiałe... Na Obidowej zajaśniało drugie ognisko.

— Kto też to pali?

— Pasterze — odrzekł chłop z namysłem — napewno oni. Tak, tak... pamiętacie wy? E, pewnie nie pamiętacie, bo już temu wiele roków...

— Co takiego?..

— Te ognie po górach... za moje pamięci stawiali drzewiane smolne słupy...

— Na co?

– Bo gadali, że panowie pudzą od Babiej góry i będą wszystkich wygnać z kraju.. Naród się strachał, krył się po lasach i wtedy to dzwoni na znak ogniste wici.. Hej, były to czasy!.. były..

– Cicho-no; ktosi śpiewa...

– E dyć!...

Skoro wiatr niósł, doleciały nas wyraźne słowa:..

„Polana, polana
Bogatego pana –
Polany skosili
Pana obwiesili..."

Chłop spojrzał na mnie ciekawie.

– Nie słyszycie! Co to taka zwyczajna śpiewka, jak i insze. Tego nikt nie układa, ba sama się rodzi, jak wiater, co dyje po lesie...

– Zwyczajna śpiewka!...ha!

– Pastarze śpiewają... Słuchajcie-no!...

„Panowie, panowie
Będziecie panami –
ale nie będziecie
przewodzić nad nami..."

Echo grało i niosło w [illegible], przejęte nutą, połączone z szelestem bukowych liści......

– Dyć to prawda, choć to i śpiewka... – podumał chłop. – Co poślę, nie?.. Do kosy zabierzmy się! – zerwał się na nogi – trza ważnie się [illegible], bo ogień zgaśnie...

Niezadługo siedzieliśmy w kolebie na ziemi, wyciągając z watry opalone ziemniaki i jedząc smacznie ze solą. Po wieczerzy ułożyliśmy się na sianie, przyniesionym z kopy i pookrywali gorące ciała płaszczami. Sen jednak nie przychodził. Myśli każdemu leciały przez głowę, jak w opętaniu..

– Nieporada usnąć – podźwignął głowę mój gazda.

Nieporada –.

– Mówmy co!

– Mówcie..

Podumał chwilę, wreszcie zaczął:

– Jak nieboszczka matka umarli, to już temu będzie... Kieloż będzie?.. chyba trzydzieści roków... A jak ja się ożenił, to będzie kieloż będzie?.. może trzydzieści pięć roków abo i więcej... To wie ino bez cały ten czas ni ma ani jednego dnia, cobych se pedział: Chwała ci Panie Boże!.. Jno ciągiem idą fale na człeka, jedna za drugą, bezustanku – jak nie to, to to, a zawdy musi coś gryźć...

– To dziwne!.. – rzekłem, patrząc w dopalające się głownie..

— Najwięcej kłopotu, toch miał z babą... Bo to chore było od czasu i do niczego... Kaw się obertniesz, to ona już stęka. Co ja z nią przeszedł, moi rzecy, toby na wołowej skórze nie spisał. Dobrodziejskie mam utrapienie. Ciągle mi po rozumy tyrcy i suści, a sama swoja się koło pieca. Juści-ech se nieraz pedział: czy mnie Pan Bóg bez przyczyny pokarał, czy co?.. No, ale cóż mizerny człek poradzi przeciwko wyrokom boskim. Jaki krzyż wziąłeś — takim się podpieraj...

— Nie narzekaj! — potwierdziłem z szacunku dla, niezmierzonych wyroków boskich!..

— Dość jednej biedy, to druga na mnie przyszła... Prawował mnie brat i siostra o twoją część... Wybrali przódzi, co chcieli, a potem pedzą, że im się wypłat patrzy... Ja też padam: Nie się wam patrzy, to się prawujmy! Juści ciągło się to prawowanie bez dziesięć roków... Co przyszedł wyrok na mnie, to go rekursem i tak zawdy. Jaże na ostatku oni przepchali i nakładli mi tyla kosztów, coch musiał znowu bez dziesięć roków spłacać. Co ja podżył bez cały ten czas, to ani, ani wypedzieć nie zdołę. Takie to życie nasze kochane... że człek se nieraz powie: lepiej być parobkiem u ostatniego gazdy, niźli pierwszym gazdą we wsi. Bo parobek, jak zrobi swoją robotę, to się o nic nie frasuje i wyśpi się swobodnie, a gazda musi se łamać głowę i we dnie i w nocy: skąd wziąć na to, abo na to... Skoro mi Pan Bóg nagodził dzieci...

— Ile ich macie?... spytałem szeptem... Głownia już dogarała. Powieki zesunęły się same.

— Wiela ich mam? pytacie się.... Być my tu wszystki porachujemy... Najstarszy Józek z drugim Wawrzkiem, pojechali do Prus. Ale jeszcze nic nie nadesłali. Żeby się choć odżywić mogli! To dwoch. Oprócz nich jest jeszcze Kielowo w chałupie.... Jaśkowi już będzie chyba szesnaście, abo kto wie?.. gładki chłopak. Zośka zastępuje matkę we wszystkiem.. Szymuś już da rady paść... No, a to drobne... poczekajcie... Wieleż ich jest?... Kasia... Ręcia... Jędruś....

Resztę imion nie dosłyszałem. Odurzyło mnie wilgotne siano i zmorzył ciężki sen.

d.

Z Podkarpacia.

V

Słońce [illegible] (kiedy) poczciwym schodził wąwozem do roztoki. Cierniste łoziny i maliniaki gęste tamowały mi drogę, wysokie, suche trawy oplątywały nogi. Rozmawiałem je rękoma, ślizgając się, jak lis po stepowych burzanach. Z pod nóg czasem wymknie się chruściel i, jak mysz, cicho po trawie zaszeleści, to przebudzona sarna wyskoczy z gibkiemi sprężystymi skokami dookoła i w parę wysokich susach zniknie mi z przed oczu. Długo tak szedłem, ścinając w pędzie leszczyny kwiaty i obrywając tęgo dojrzałe maliny. Wreszcie natrafiłem na ścieżkę, wydeptaną przez dziki i stratowaną raciami tak, jakby tędy przegnał (co wygnaniec) pan wołów. Codzień przed wschodem i po zachodzie słońca można je tu napotkać, jak idą na żer do wsi i wracają — jeden za drugim. Pomknąłem szybciej i niezadługo stanąłem na drodze kamienistej, wiodącej spadzisto na dół równolegle z szumiącą roztoką. Szedłem wolniej, wyjąwszy malowany wieniec nad drogą, kiedy usłyszałem z bliska szczekanie psa i równoczesne słowa:

— Burek! pódź tu! wrunieco?!

Mała psina przybiegła ku mnie, zaskomliła radośnie i jednym susem wyprzedziła mnie o kilkanaście kroków, kładzie się pieszczotliwie u nóg swojego pana.

Ów „pan" siedział obok jedynej drogi na wilgotnym trawniku i patrzył uparcie pod nogi. Za zbliżeniem dojrzałem niewielkie źródło, które przykuwało jego oczy. Podniósł je na mnie, gdym stanął przed nim — i ujrzałem dwie maleńkie zielonawe iskierki w zasuszonej twarzy, umieszczone w zagłębieniach pod miedzianem, świecącem czołem.

— Z daleka? — spytał.

— Z Wikłów.

— Siądźcie...

Zapraszał mnie uprzejmie, jak w swoim domu, wskazując ręką zielony trawnik. Usiadłem bez wahania. Psina podsunęła się ku mnie z wesołym skomleniem.

— Pies więcej przeżyje człeka odrazu — mówił wpijając we mnie przenikliwe oczka — Dobremu rad, złego prześladuje... U ludzi nie tak.

— Nie wierzą sobie...

— A nie wierzą.

— Skądżeście się zabrali? — spytałem.

Namyślał się, co ma odpowiedzieć.

— O dyć z tyka... — mruknął po chwili — Tak se tu posiedzę, podrzemię sobie. Robić ni ma co...

— Z czegóż żyjecie?..

Spojrzał na mnie zdziwiony...

— Z tego, co Pan Bóg urodzi, a... — szepnął. — Dy dziesiątki żyję po lasach, a wyżyję... Nie trapię się, bo ni mam o co.
— Gruntu nie macie?
— Co mi po nim! Tyło z nim, co i bez niego...
— I jakże?
— A nijak!..

Patrzyłem nań zdumiony. Przedrwiwał mię oczkami, mrugając nerwowo. W kącikach zeschłych warg czaił się uśmiech, zrodzony z cichej rezygnacji.
— Na wiesnę jagody są i borówki, później mi zwolna latem zaś maliny, a pod jesień czernice i bukiew. To się ta człek ocali biedzie... ino zima gorsza. Pokiela były kwiczoły, to się jadło...
— Teraz nie ma?
— Nie przylatują... Nie widzę ich już bez trzy zimy...
— I tak żyjecie...
— A żyję, pokiela ino zdołę jeść, abo pokiela co znajdę... Dziesiątkiem to się ta i cnie takie życie. Jak i Profesorowi z Lubomierza...
— Cóż to za jeden?
— Dyć profesór, taki wicie, co to dzieciska uczy...
— Ehgmhe!
— Onta przyszedł do wsi, jak życie biedny starowina. Jużci gmina przyjęła go: Będzie ta — pada — dzieciska w zimie podnosić i niech się ta chowa, jak może...
— I chowa się?
— Dyć chowa. Bez zimę, pokiela uczy, żywią go wciu z kolei, z każdego numeru. Co im zostanie od jedzenia, to mu w garnkach donoszą, i żyje się ta. W lecie zaś nikt o niego nie dba, bo dzieciska pasą... nie trza go.
— Płacy nie dostaje?
— Skąd?.. Kie go nie trza. Żyje ta jagodami, czem zdoła. Ale ze krzywdzi. Zeszli my się we wsi, to opowiadał, że bieda na niego...
— No, wierzę!
— Ale biedy takie nima, nie wierzcie, ino to wie kie wszystko zwyczajne, to się mu ta i cnie... Schodził on kawał świata — dodał po chwili — we wojnach był i wszędy... Padają, że sodomiona językami gada, ale ja ta temu nie wierzę...
— I tu trafił na nieszczęście swoje...
— Ja medytuję — przerwał — że nieszczęściów nima, ani szczęściów...
— Ino?
— Ino są jakieś planety złe i dobre. Ale złych jest więcej... musi być więcej...
— Czemu?
— Bo się ludziska skarżą, a to niedobry znak...

Przysunął się ku mnie i gorączkowo począł mówić. Oczka mu błyszczały, jak dwie na słońcu krople.
— Trojakie są złe planety, trojakie... Jedne chodzą po niebie, drugie ziemią, a trzecie po ludziach... Te najgorsze, co

po ludziach chodzą... Wierzcie mi!
– E, bajecie!
– Ja wam bajdy?!.. – zatrząsł się nerwowo – Popatrzcie się – wskazał na źródło, bijące wzgórę... – Ta woda była pierwej het w górze i płynęła z boku... teraz zeszła na dół, tu, ka widzicie i bije prościutko do góry... Wiecie, czemu tu zeszła? wiecie?..
– No?
– Bo przyszła na nią planeta... Śmiejcie się, a ja wam gadam, że tak. Musiało się jej coś stać, musiało. Abo kto napluł do niej abo co, że się zgniewała i uciekła na dół... Wierzcie mi, że woda ma takie samo czucie, jak i człek, abo drzewo. Okaleczcie smreka, to zapłacze napas łzami smolnemi, abo uschnie z boleści...
– Ależ to co innego!
– To samo, panie, to samo...
– Ale ta wasza planeta, jakaż ona jest?...
– Moja planeta... – powtórzył, a oczy mu się zasnuły – jaka ona jest?.. żeby ja to mógł wiedzieć... Nikt z nas nie wie, czy zła, czy dobra... Nikt nie wie..

Nie zrozumiał widać pytania. Milczałem jednak, znając jego oryginalny światopogląd i przypatrywałem mu się, gdy pochylił głowę zamyśloną, a oczka mało utopił w bijącym źródle...
– Często tu bywacie?
– Ta, Boże... codzień... Ciągnie mnie wciąż to źródło –

Gdy podniósł głowę, dostrzegłem nagle dziwne podobieństwo jego oczu z bańkami świecącemi tworzącemi się na bijącym źródle...
– Ale, ale, napijcie się ze wody.. – przerwał – Ni mam co innego... Sparzycie się – dodał poważniej – a ja wam gadam, że ta woda ma dwojakie dobro... Jak kto pojedzony, to budzi apetyt, jak zaś kto głodny, to się mu jeść odniechce. Tego pierwszego jeszcze nie próbował... Drugie zato próbuję codzień...
– To wasza planeta...
– Nie tu ona siedzi – zamruczał – Nie tu... Ka ja pudę, tam ona ze mną... Późno już pora... Ostańcie zdrowi.

Powlókł się wgórę do wyrębu, pies niecierpliwy wyprzedził go i wpadł w wysoką trawę szukać jakiegoś zwierza.. a ja długo siedziałem, tam przy źródle, medytując nad planetami tych ludzi...

Listy ze wsi.

Na wsi I.

Ważna to, jak chłopu! Ten ma już raz święte życie. Żeby ino Bóg nagodził ziarna i ziemniaków, to się o nic nie potrzebuje wielce troszczyć. Wszyscy mają staranie o niego. Ksiądz go radośnie na tym świecie wita, jeszcze ochotniej chowa, zaś przez cały krótki żywot ma pieczę o jego duszę, jak o najmilszej owieczce ze stada, która za życia daje wełnę miękką, a raz dak biały po śmierci. Żyd przemyśliwuje o jego majątku: gdy mu za dużo — wyjmie mu ciężaru z głowy, a gdy mu zamało — do pożyczy, i to hipotecznej zawsze przy czasie, wszystko rozumem swoim wyprostuje. Ci panowie z urzędu radzi go widzą. Z podatkiem nie zawsze musi się trudzić dwie mile; przyślą mu niegdzie swoich ludzi, i wezmą bydlęco, nie samą pieniądze. Wszyscy dla niego dobrodzieje, każdy za niego o nim myśli, aby se ino nie przeładował głowy próżną turbacyą?

Ale już najwięcej staranie o chłopa mają podczas wyborów. Wtedy cały kraj o nim radzi. Gdzie się obrócić, wszędy ino o „naszym chłopie" gwarzą, jakby każdy po to tylko żył, by chłopu dobra przysporzyć. Schodzą się mniejsi i więksi panowie, ba, nawet tacy, co wsi nie widzieli, i pradumują w gazetach owszem, jakby tu chłopu dopomódz. Żeby się dało raj z zapieckiem stworzyć, gdzieby mógł drzemać słodko przy cieple, toby ochotnem sercem uczynili. Tymczasem czynią, co w ich mocy. Żeby se chłop nie potrzebował łamać głowy, kogo wybrać na sejm, to mu przysyłają gotowego posła, i kosztów przecie nie ściągają, jako, że to „rzecz urzędowa". I chłop ma spokój. A gdy z wypadku zajdzie przyjdzie w czasie wyborów, jak i tego lata, to tak urzędu wszystko pięknie ładnie, że chłop nawet i nie wie, kiedy są wybory. O wszystkiem u niego zasięg zdaleka i zbliska i z miłości po cichu, bez mówienia, wszędzie, żeby nie był tymczasowym odrywać się od swojej roboty, chłop ma spokój.

Niedawno zeszedłem się … Ale nie zawsze to rozumie.

— Cóż ta u was na dole słychać? — pytam. Sarka po cichu na sprawiedliwość.

— Jak … żeby ino dał Bóg pozbierać z pola, co się wsiało … ziemska, a i w niebieskiej nie tak mo…

— Wybory — się już myśli? — mu wierny, jak powiadają.

— A podobno, były…

Niedawno zdarzyło mi się mówić z podletnim człekiem, który chodził po wsi wybierać na mszę na uproszenie pogody i słońca.

— Wszystko — powiada — byłoby dobrze, żeby w niebie znacznej gardowli. Ale to tak: raz bryźnie, drugi raz się zamgli i znowu leje. Nijakiego porządku nad światem. Każdy ślęczy o swoim krzyżu myśli, a nami się żaden nie zaopiekuje szczerze.

— Zato na ziemi mamy opiekunów…

— Dyć chwała Bogu, nie ma co narzekać. Jak i z tymi wyborami — Przyszli i wybrali, ani człek nie wiedział o tem…

wst

— Ano, zbaczyłyś, boście aż to radny...

— Przyjechał komisarz z miasta komisarz i z wójtem oba wybrali pisarza.

— No to pięknie, kiedy tak...

— Jakie to? — pytam się — przecie jeszcze radnym...

— No dyć ech jest. Nie jeden, jest ich ta niemało. Ale nikt nie uważał z nich.

— [illegible] wam wypadało [illegible]. I jakże wypadło?

— Ano przyjechał komisarz z żandarmem i oba z wójtem wybrali pisarza.

— To sprawiedliwie... myślicie?

— Ja nijak nie myślę.

— Prawda, są czasi, niech se głowy łamią.

— A jakże. Tylo wam ino powiem: że nie wiem, kto kiedyś na tem wygra [illegible]...

Spojrzał na mnie przebiegle oczyma chytremi i, chcąc zaraz odmienić myśl niedokończoną, począł:

— To prawda, że my nie do tego. Człek w ziemi zagrzebany, jak ten kret, pomyśli, Boga prosi, żeby mu dał zebrać ten plon mizerny z pola. A co wyżej, to nas ta już nie dużo obchodzi. W tem całe dba na ziemię, co się latem [illegible]. A tego lata dzień po dniu, powódź za powodzią — takich nawałnic nie pamiętają ludzie już oddawna. Różnie se naród myśli: co takiego, że te burze i grady tak często przechodzą. Opowiadał mi kościelny, a jemu znowu ksiądz, że jacyś heretycy wynaleźli, coby z niej mogli do chmur strzelać i rozpędzać grad, a te burze tegoroczne, to z tego powodu, i to heretykom te bokiem ludzkie wyszło... choć mnie się ta nie chce wierzyć... Ha no, [illegible] ziemia i tyle. Ja też też zebrał, myślę sobie: Trza zbierać na [illegible]...

Mówił szybko, bez przerwy, nie myśląc o tem, co mówi. Oczyma biegał się po górach [illegible] z lasu. Po chwili przestał i pozostał w zadumaniu z czołem.

— Tak-ono, tak... gdzież się ta woda ma utrzymać?

... Spotkałem jego oczy — zaczerwieniły się i zwrócił je na bok.

— To, widzicie, jest dopiero jedna z przyczyn [illegible].

— Wiadoma rzecz trochę — odparł — darmo się wypierać. Ale to ludzi i człek nie wojuje, to se myśli i niechta! Niech się inni trapią. I lepiej [illegible], nie słyszeć, nie wiedzieć o niczem. Bo kiedy myślę za nas, to niech myślą, niechże się im zdaje, że człek już nic nie umie, ani duszę, że się już tak doma [illegible] w tej ładnej skórze. Ale... do niczego dobrego to nie doprowadzi. Jak i z tymi wyborami... potrzebne to na co? powiedzcie sami. Dyć może pięknie ładnie bez tych komedyi obyć. Naród sam to pokazuje, a nie chce widzieć [illegible] się

i czeka, co to będzie dalej. Ani temu, ani temu, spokojnie, jak zawsze.
A oni myślą, że ich góra. [illegible] się pokaże.
[illegible] Umilkł. — Przypomina mi się przypowieść o wilku. Słyszeliście, już kiedy?

— [illegible]

— Nie...

— To wam opowiem, choć to przypowieść już stara. Było to tak: pasł się baran nad urwiskiem, w lesie. Przybiega wilk i mówi: „Zjem cię!” — powiada. „O, coby nie ta groźnie grozi!” — odezwie się baran — „[illegible] Kości, widzisz, mam twardawe. Żeś ty stanął, obróć się do urwiska zadkiem, otwórz paszczękę, a ja ci sam wskoczę do gardła i będzie koniec.” Wilk wysłuchał baraniej rady. Obrócił się i stanął i otworzył paszczę. A baran, jak się rozpędzi, jak buchnie w niego, to się ino wilk rogami nakrył. Leżał [illegible] przepaść. Wstaje potem, wywlecze się, wyłazi na brzeg, poziera w koło, rozgląda się, a tu barana ani śladu. „Hm...” — myśli dumający — „czym go zjadł, czym go nie zjadł?”

— Przypowieść wcale trafna...

— Baran i tak głupi, że go nie dorżnął tak, coby już nie wstał...

— Ba, ale wtedy wilkby już nie myślał, a [illegible] jego jest najlepsza.

— Ha, co kto woli...

Rozstał się ze mną wesoło i poszedł dalej zbierać na [illegible]. Kielo uzbierał, nie wiem, ale to wiem, że Pan Bóg dał pogodę nazajutrz, i burzy już nie było. Że to było nabożeństwo na uproszenie deszczu.

Wł. Orkan

„Religijność"

12

II.

Powszechnem jest mniemanie, że chłop jest religijny. Tak nauczają, więc musi być prawda. Już w elementarzach, o kmiotku, który orze zagon swój ojczysty i skowronek śpiewa, słoneczko przygrzewa, a on się modli na roli...

Znam obrazek podobny, malowany w słońcu, ale... trochę ciemniejszy w kolorze. Oto kobieta, nie pasterka, ta sama gaździna, pasie krowy na miedzy w słonecznym ranku. Śpiewa pieśni nabożne z ogromnem przejęciem, a krowy jedzą cudze zboże. Widzi to dobrze, bo się patrzy na nie, lecz, zamodlona, ani myśli odpędzić je od szkody.

Oto gazda podletni idzie drogą na dół wśród cichych jodeł — ku kościołowi. Zdjął kapelusz idący i szepce pacierze, a słońce promieniami głaszcze go po siwych włosach. Wczoraj o zmroku ściął smreka w kumostrowym lesie, zawiózł go do tracza i zerznął nocą na deski, a dziś rano, jak zwyczajnie w niedzielę przy święcie, ogolił się i ubrał w przyodziew świąteczny i teraz przed innymi idzie do kościoła, aby naprzódy podziękować Bogu za błogosławieństwo w pracy i prosić o dalszą łaskę.

Oto znowu ów „kmiotek" wyjechał z pługiem na zagon. Przeżegnał się na początek i zorał cudzą miedzę. Poczciwie się mu już gładko orze, pewnie i składnie. Wtem co dopiero odwalił na cały lemiesz sąsiadowi skibę i, stopę, obejrzał się wkoło czy kto nie idzie. Nie obaczywszy z nikąd nic, krzyknął na woły z pogonią [illegible] z tem większem sercem za sposobność o Bogu myślący, zbaczując, że w pośpiechu nie zmówił rano pacierza. Ściska wartko kapelusz i odmawia, a w przestankach klnie woły naraz i pogania.

I mnóstwo jeszcze podobnych obrazków przesuwa się przed oczy. Jeżeli taka religijność objawia się, to chłop jest religijny, nawet wielce! Znam jednego gazdę, który za najpobożniejszego uchodzi we wsi, a słusznie. Ten kazania nie opuści, ani mszy, ani słowa. W kościele siaduje w ławce przy samym ołtarzu. Modli się wargami i oczami, całą postawą przychyloną. Książki pod pachą nosi grube, nawet po dwie naraz. Nie goli się z pobożności, aby nie myślano, że się chce komu i ludzi przypodobać. Ba, to wszystko jeszcze mało. Należy do „Trzeciego zakonu św. Franciszka", sam jest zelatorem bractwa, nawet paru bractw, obrazy cudowne miewa skądsiś ze świata sprowadzane, na wszystkie odpusty chodzi, spowiada się często, niema święta, niedzieli, żeby do Komunii św. nie przystąpił. No słowem — taki katolik, o jakiego i w Rzymie nie łatwo.

Cóż, kiedy nienawiść ludzka i takich nie obejdzie. Kiedym raz niestety zszedł się z podejrzanym o niedowiarstwo człowiekiem, i jąłem go nawracać słowy pełnemi gorąca i żarliwości wielkiej, pokazując mu, jako przykład, onego człowieka, który w łasce Pańskiej ustawicznie chadza, ten mi porywczo odrzekł:

— Panie! Dyć to największy we wsi złodziej! Takiego oszusta chyba świat drugiego nie zna. Co on ludzi naobdzierał, to ani wypowiedzieć... Któż okradł kasę gminną, jak nie on? Przecie to wiadome. A leż

ćwiartkach procentów kiela zebrać! Niech on się tu modli. Myśli, że pacierzami Boga udobrucha... Cóż mu i tera z tego z krzywdą ludzką się pasie, a wszędzie je chudy. To chłop, powiadam wam, to huncfot! nie gazda...

I długo jeszcze byłby pewnie pomstował na niego, gdybym był, ochraniając uszy swoje, nie odszedł zawczasu. Tak to zdrowa ludzka [illegible] nie darzy nawet wielkich oszustw. Choć po boku o nich mówi, we cztery oczy, nie tak głośno, jak zwykle o małych. Ów człek, chodzący z pobożnością w twarzy, uznany jest wszędzie po wsi, szanowany w oczach. Zapewne też, wobec dla się szacunek wierzchni i posłuch, zdaje się sam sobie świątobliwym wielce.

Taką świątobliwością wielu odstanych. Są ludzie, którzy się chwalą, że dwadzieścia i więcej razy byli w Częstochowie, a na kalwaryję świętą co rok idą, nie licząc mniejszych odpustów pobliskich. Chorują nawet z rozżalenia, gdy ich coś takiego zajdzie, że nie mogą iść. Obrząd wszelaki ich ogarnie. Chyba nie dziedziczny... W tak bogato plony dojrzewa [illegible] siew.

W życiu codziennem chłopa mało o Bogu szczerego wspomnienia. Chyba w nieszczęściach, gdy się trafią, ale i to nie we wszystkich. Małe zwykle szkody ludzi i przypisuje winę bliźnim swoim, wielkie dopiero odnosi się Bogu i przyjmuje się w pokorze, jako doczesną karę za grzechy. Oto jeden z tysiąca przykładów: Gazdzinie, jej [illegible], zakulała kura. Ona też, nie wiele myśląc, porywa ją i leci do sąsiedniej chałupy. Wpada do izby zapieniona i, ciskając kurą sąsiadce pod nogi, woła: „Niechże [illegible], [illegible] jej okulawiła! To se ją zjedz!" I, nie słuchając tłumaczeń, zdumionej taką napaścią, wypadła na pole z krzykiem i klątwami, podniosła taki lament wielki, że całe osiedle wyszło patrzeć, co się tak stało. Niedługo potem zdarzyło się, że prawie na równej drodze krowa jej nogę złamała. O, wtedy wiedziała to po prostu, za karę [illegible]. Przyszła z płaczem do sąsiadki i do kolan jej upadła, prosząc z szczerem żałowaniem o przebaczenie krzywdy.

Ogólnem stosunek chłopa do Boga jest bardzo prosty: „Ja ci zmówię tyle pacierzy, a Ty mi daj to, o co Cię proszę." Stąd przysłowia:

„Tu i Panu Bogu nie zadarmo się pacierze mówi."

„Nie święty darmo, za co płaszcze udziela." itp.

I w nadziei otrzymania zbawienia wiecznego, chłop wypełnia obrzędy, jak się patrzy, chodzi we święto do kościoła, modli się, jak mało co, i zazwyczaj jest w porządku ze swojem sumieniem. W dociekania dużo się nie wdaje, bo to – powiada – pismo-znawca przez dociekanie upadł. Więc też niema wątpliwości w wierze. Choć się zdarzają...

Orał mi w jedną wiosnę chłop już dość stary. A miał pognać nie swojego, ba drugiego osiedla, który był znany od młodości. W czasie przedpołudnia były siedzieliśmy na trawniku, konie [illegible] gryzły. Chłopi też nieco przejedli i pozakurzali fajki. Mówimy o tem i owem, co ma [illegible] z wiosną, z zasiewami, z uprawą... Nagle ów stary [illegible] i wyjmuje fajkę

z ust, zwraca się do mnie:

— Chciałbym się was o jedno spytać, ale nie wiem, czy wy mi powiecie...

— No, cóż takiego?

— Kiedy ja już wiem, że wy mi nie powiecie...

— Przecie zapytać możecie...

— Czy też jest to piekło, czy go nie ma?

— Hm...

— A nie mówiłem, że mi nie powiecie! — roześmiał się gorzko i nieswojo.

Chwilę milczeliśmy wszyscy. Wreszcie pogonica, [illegible], ozwał się:

— Ja tak uważam, że każdy piekło swoje w sobie nosi...

— Może i to być... — przyznał stary. I zabrali się do orania.

Rzadziej napotkać można niedowiarka, który się gorszy po cichu, kiedy drugi człek pacierze szepce, i pokpiwa głośno, mówiąc: „Nadzieja w Bogu, w sobie [illegible]..."

I tak się jednakowoż trafi, jak dowodzi mądrość narodu — przysłowie: „W Pana Boga wierz, ale mu nie dowierzaj!"

#

Wł. Orkan

PS. Oto knap, gdy nawinie, zabiera się wczesnym rankiem do roboty przy płótnie. Domownicy zaś odmawiają pacierze, które dziedzic za doradą ojców jeszcze świtaniem „na cudaczne" [illegible], i półgłosem różańce. Knap owszem przędziwo targa na warsztacie. „Pociągajcie ta z tym różańcem" — odzywa się pochrząkując — „idźcie se pokłusem... bo mnie dyabli biorą na taką robotę!" I tak codziennie musi odkłóć swoje. Ale różańce zawdy w czas zatrzyma.

Knap — gdy mu się przędziwo targa:

P.S. „Zatrzymajcie się z tym różańcem — idźcie se pokłusem... Bo mnie dyabli biorą na to wszystko, na taką robotę."

Powszechne

Powszechne

Powszechnemu

W Pam

Szanowny Panie!

Przypominam, że pan to doręczył kwestyonaryusz do listu, abym nań odpowiedział. Więc odpowiadam po kolei.

1) Według mojej uwagi program „Illustracyi Polskiej" odpowiada w zupełności wymaganiom artystycznym i myślowym naszej czytającej publiczności, a przynajmniej jej znacznej większości. — Potrzeba takiego pisma jest, choćby ze względu na to, że ta publiczność, prócz dzienników, nic prawie nie czyta, a znaczenie pisma będzie duże w informowaniu wiernym i bezstronnym o ruchu umysłowym i literackim w Polsce i zagranicą, tego bowiem dzienniki, choćby i najlepsze, zajęte politycznym uświadamianiem narodu, nie mogą należycie spełniać. Sądzę wreszcie, że wydawnictwo takie jak „Illustracya", przez sam program swój, ma warunki trwałego powodzenia i przyszłości szerokiej. — Że dotychczasowe wydawnictwa w tym rodzaju nie utrzymały się, to — tylko — wina ich wydawców lub redaktorów.

IV.

W większej części książka zwalają wszelką biedę chłopską na żyda. On winien — powiadają — bo okrucieństwem przebiegłym omotuje chłopa, jak pajęczyną, i wypuści ze szponów, aż zadusi swoją ofiarę. To samo powiadają nasi stemplowani antysemici, z dodaniem strasznych średniowiecznych historyj o mordowaniu dzieci, starców i sług katolickich przez żydów, i używaniu ich krwi do maców w czasie świąt wielkanocnych. Ale o sobie powiadają antysemici, że są ludźmi! Ale nie to chciałem mówić. Ogółem utarte zdanie, że żyd na wsi, to pijawka, która ssie chłopską krew. Nie myślę temu przeczyć, bobym może mniej obrazowo to przedstawił; chciałbym jeno pokazać parę przyczyn tegoż krwawego ssania i rzucić parę oderwanych faktów, [illegible]

Jestem w powiatowem miasteczku. Spotyka mnie stary, osiwiały wójt z okolicznej wsi. Z daleka już radośnie woła:
— A! przecieśmy się też raz z wami zeszedł... Tak nie chcecie do nas zajrzeć, gdzieś ino świętami przyjdzie. A my tu w biedzie, w kłopotach, nikto się o nas nie zawie.

Przywitawszy się ze mną, powiada:
— No! przecie se też raz pogwarzymy godnie... Pamiętacie te wybory? Szło, od tego już wiele zmian zaszło. A wszystkie nie na lepsze... Ale wstąpimy na piwo, coby się nam lepiej gadało. Jak myślicie?
— Dobrze! Choć i tu moglibyśmy postać...
— Kiedy, widzicie, okna tu nam wychodzą ze starostwa, a oni mnie tam strasznie nie radzi widzą. Choć ta i mój syn jest...

Wstąpiliśmy więc do karczmy i siedli w bocznem alkierzu.
— Ja, widzicie, — rozpoczął — okrutnie kocham ludzi, co z naszego stanu wyszli, a do niego się przyznają otwarcie. Ale to niedużo takich. Jeszcze mniej ze tych, coby się o chłopa troszczyli, skoro panami zostaną. Ja, jak wiecie, mam pięcioro dzieci...
— O, to sprawnie!
— Wygodził mi ich ta Pan Bóg dość, i żyje wszystko. Najstarszy chodził do najwyższej szkoły i przełaził ta z klasy do klasy, no i wyszedł. Był nawet oficerem, czy czemś podobnem, bez jeden rok przy wojsku. Było raz, że przyjechał na urlop tu do miasta, ale do mnie nie zajrzał. Akurat wtedy wypadł jarmak. Jak był w mieście, jak zwyczajnie, po różnych sprawunkach. Spotykam ci mego synka pomiędzy ludźmi, chodzi se, paraduje, pobrzękuje szablą. Zachodzę mu przed oczy, a ten się wita ze mną, jak z kim obcym. Ja też, nie wiele myśląc, jak trzasnę mojego chłopca w pysk, to się aż po kamienicach rozległo. „Zahaś ty — powiadam mu — oficyrem, to ja twoim jednorałem, i wiedz se na drugi raz, jak się masz z ojcem przywitać!" Myślicie, że się odmienił? Hej!.. Dziś jest ta komisarzem przy starostwie. Prawie się nie znamy. Raz, kiedym został wyborcą, przyjechał do mnie i radził mi, jako mam głosować. Ja mu też powiadam krótko: „Chwała Bogu, jeszcze na tyle rozumu mam, żebym wiedział, co dla nas dobre, a co nie. A ty, jakeś się uwiesił u pańskiej klamki, to wisz... Ale mi tu się na oczy nie pokazuj." On się też zebrał i pojechał. I od tego prawie się nie znamy. Zdrowie wasze, panie!

Wziął szklankę do ręki — w tej racy odchylają się drzwi i wsuwa się nieśmiało stary żyd, arendarz z tej samej wsi, w której wójt gazduje. Trzyma kapelusz w ręce i kłania się nisko. Wójt odstawia na bok szklankę.
— A ty tu, parchu, co chcesz? My se tu pijemy z panem i gadamy se ot tak. A tobie wara od nas, bo...
— Panie wójcie, ja wcale tak długo szukał...

Wójt poagodniał. Widać miał z żydem jakieś zajście, jakąś przeszłą sprawę swoją.

– No, to zejdź stamtąd, poczekaj, widzisz, że nie mam czasu. Kaź-że podać szklankę piwa na mój rachunek. Moszek! – zakrzyknął w stronę izby – Przynieś temu parchowi szklankę piwa...

Żyd był dostatnio odziany, w oczach przebijała się inteligencja, nie tylko sprytu. Widziałem, jak bladł i czerwieniał się przy słowach wójta, i nie mógł obojętności pokryć tamowanego w sercu oburzenia. Widziałem jego zacięta wewnętrzną walkę. Upokorzenie zgrzytnął udał, że go nie czuje, i uśmiechnął się, jak człowiek, któremu rozum na razie nic innego uczynić nie radzi. Kiedy schodził na pół na dół, na sposobny czas. Wiem, że nie zabaczył o niej!

Wypił szklankę i wyszedł z widocznem pośpiechem. Potem zbliżył się ku mnie i zapytał: bardzo grzecznie:

– Przepraszam, pan z Krakowa przyjechał? Czy Daszyńskiego wybiorą? Jak pan sądzi?

– Nie wiem... może... prawdopodobnie...

Jestem w żydowskim sklepie w Kościelnej. Ludzi się napchało moc, bo święto, każdy ma jakieś drobiazgi do kupienia. W dzień powszedni robota, na kupno czasu niema, a do jarmarku odległość daleko. Ruch w sklepie, kotłowanie, jakby bitwa wrzała. Żyd z pomocnikiem, jak w ukropie, zwijają się na wszystkie strony i nie mogą nadążyć wołaniom.

– Mnie-że dej, parchu, pierwej, bo tu już stoję od południa...

– Nie słyszysz, co ci gadam, czyś głuchy?

– Bo ci ślepie obejrzę, będziesz widział!

– Jak to patrzy, jak turzy... pieprzu za dwa centy!

– Żydzie! pokraka dyabla! bo jak cię palnę raz, to cię nie będzie

– Jaka to psia dusza ślepa, jak pies w dziewiątym dniu....

Spadają śmiechy i wyzwiska na głowę starego żyda. Widać, jaki zdrowie dyszy, jak wszystko w nim wewnątrz gotuje i pieni. Pot krwawy z udręki strasznej spływa mu po czole. Ale milczy, żeby zaciska coraz mocniej i połyka gniew. Cóż on tym ludziom może zrobić? Może ich tylko zedrzeć. I zdziera. Z czystem sumieniem.

To jedna z przyczyn jest ich wiecej.[*]

Żyd wie bardzo dobrze o tem, bo z doświadczenia, że tylko pieniądz może mu stworzyć jakiś taki szacunek u ludzi, choćby na oko. I wszelkimi środkami sposobami stara się o ten pieniądz. Wie, że bez niego, (ma przykłady) byłby, jak pies, przegoniony z osiedla w osiedle. Nędza lęka się bardziej, niż śmierci! To go pcha również do wyzysku.

Żyd wie bardzo dobrze o tem, że gdyby chłop mógł i umiał, toby go także obdarł, ale nie dzięki się w sercu z ormkandu [illegible]. To też nie czuje się niczej moralnym od tamtej strony. Ten w oblicze świata jak i Boga, stąd pogarda, jaką go darzą chłopi, może mieć jakąś straszną, niezastąpioną [illegible].

A teraz mały wypadek. Żyd w rachunku pomylił się, zapomniał chłopu wliczyć towar, wartości czterdziestu koron. Chłop duma, waruje i przypomina sobie, że przecież przecie coś brał. Dochodzi pomiędzy jakim [illegible], idzie przy najbliższej okazji do żyda i po...

tak, a tak: „Bratek wtedy, a wtedy towar, nie zapisaliście: widać, należy wam się odemnie jeszcze pięć reńskich.” I wysypał skórzany mieszek, aby wypłacić. Żyd zgłupiał ze zdumienia. Pomyślał sobie w rozumie na chwilę. „Jak to? sam? dobrowolnie?”... „Widzicie wy — odezwał się po chwili zdziwienia — wyście jakiś inny człowiek... Ja was nie pojmuję. Zabierzcie se te piątki.” Bał się, że to jaki podstęp. Ale chłop kładzie na stole: „Ja przecie pamiętam, było to wtedy, kiedy chrzciny my mieli. Wszystkich churtem, żeby babie uciechę sprawić...” — „Ja już barzo...!” — „No to o co idzie?”. Żyd postał, podumał chwilę. „Wiecie wy, co? Wyście mi nigdy przykrego słowa nie powiedzieli... O resztę to... przecie każdy człowiek...!” — „To ja wam teraz tak powiem: wy se te piątkę weźcie, a ja wam taki rachunek wydam, co nic nie będzie brakowało.” Chłop nie rozumiał jeszcze. „Nu tak, co ja odrachuję procenta i będzie. Ja też mam sumienie swoje...” — „Ehe! Toć też to!.. a wyście mi nic o procentach nie gadali!”

I chłop odszedł z głębokiem przekonaniem jeno, że „każdy żydzisko” to szachraj, a nic mu wierzyć niewarto.

A w końcu objaw taki. Znam jedną wieś niedaleko, w której wszyscy bez wyjątku [illegible] kobiety zajmują się handlem. Kobiety skupują len, rozprzędają płótno, a chłopi handlują wszystkiem, co się [illegible] nadarzy. Pełno ich wszędzie po jarmarkach. Bez nich nikt nic nie kupi, ani też nie sprzeda. Jarmarków by nie było, gdyby ich nie stało. Gdy się przypadkiem u nich [illegible] wszystko, to ludzie byliby [illegible] z jarmarku i mówią wszyscy naraz: „Do chałupy, do kupca.” A gdyby się zapytać kobiety jakiejś, która wiedzie krowę lub cielę na jarmark, komu by ją wolała sprzedać — „Żydowi!” odpowie ona bez namysłu. Bo ten ją oszuka raz, a „kupcy” pięć razy. Znani też są w okolicy, jako najwięksi szachraje i oszuści, kryminaliści wiecznie. Bo nawet żyda potrafią oszukać i okpić, dyabła, gdyby z nimi kupczył. Ta wieś od trzydziestu lat dopiero zajmuje się handlem!

—

W. Orkan.

Władysław Orkan [illegible] [Limanowskiego powiatu] 16

(upadek gospodarstw rolnych):

II. Okolica podkarpacka, górzysta, skalista, głodna i czerwono-ziem. Gospodarstwa przeciętnie po 5 morgów. — pojedyncze po 20 i 50 morg. (Przez 40 lat od 4 gazdów wzrosło do 16tu przez drobienie i dzielenie .... Wnet stanie lud nad urwiskiem. Lud sieje: pszenicę, owies, owies, ziemniaki. Źle, gdy są ziemniaki nie udadzą. Wysadzi się dziesięć korcy — wykopie 15. A w tym roku było tak, nawet w okolicy żyznej strony [illegible] ([illegible]) że [illegible] gazda 3 miarki. Ojciec mały, „tra go chyba [illegible]”. Rąk do pracy za dużo, obrobiliby 10 razy tyle. Ale grunt nie obdarzy rodziny dochodem żadnego. Na bydło nie przychowa, bo nie chowają [illegible]. Jedna krowa i ciele. Kto ma woły lub konia to na cudzym pracuje. Upaść ich nie może, [illegible] [illegible] na [illegible] ... Lasy A teraz druga bieda. Dzieci żyją ziemniakami i potem owsem [illegible], gdy [illegible]. Wiem o jednej komornicy biednej, która na jedynym kawałku [illegible] [illegible] Przyszły w jednej [illegible] i [illegible] do [illegible]. Biedna z dziećmi płacze, bo cóż wykopie?.

Polany, tak zwane i [illegible]. Tylko wyprowadzi ziemniaki, każdy niepogoda....

I (dawniej)

Lasy. We nich wypasali woły. Stąd dochód. Kto dał radę, przywoził drzewo do [illegible] [illegible] ([illegible] [illegible]) i [illegible] deski. Te sprzedawał. Grunta były duże, choć liche. Na nich wypasali owce, Wprawdzie nigdy nie sprzedawano zboża, ale im na wyżycie rodziny starczyło..,

Lud był tępszy, nie było! Towarzystw, [illegible], zaś

Jeden księgarzom chytrze pomógł.. – a dziś ?..

III (Głód i nędza)

We wsi wszyscy kupują, bez wyjątku. Zaczem jeden na 50 morgach, który nie ma co zjeść. Już od połowy zimy pożyczają się przednówek. Gdy się skończą ziemniaki – kupują kukurydzę. Borgują jak się da, a ponieważ teraz nie chce borgować – więc każdy chwyta się czego może. Mieli chłopi po laski srebrnego gaju. Dziś w nędzy, porzynają je cicho i sprzedają! Któż kupi ? jeszcze Żyd. Zdarza się często, że chłop, zmuszony głodem, prosi z płaczem i całuje po rękach Żyda, by kupił od niego drzewo. Ten niby nie chce, opiera się, że chłop i tak musi sprzedać. Potem kupi za tyle, za ile sam zechce... Od trzech lat sprzedają drzewka. Za parę lat pomrą lasy. Oto przybędą wielkich właścicieli. Zostaną pola puste, i trochę kamieniste...

Codziennie od gromady ludzi z torbami idzie pchają się do sklepu. Każdy dźwiga aż uradowany, jeśli ma co dźwigać... Spotkałem chłopa, który niósł kukurydzę w kapeluszu. Opowiada mi, że nie „garda" posłali go, by kupił na śniadanie, bo nie już nie mieli utrzeć na tatynku".

Nędza i rozpacz. **Zapomogi** biorą kukurydzę nawet gazdowie gruntowi, biorą po miarce, po garncu każdy rad gdy się mu co dostanie.

A cóż dopiero komornicy ?!..

III. (Zarobek, emigracja)

Corocznie z co drugiego domu idzie ktoś w świat na zarobek. Do Ameryki mało; ale ci co pojechali to niektórzy wracają... Najczęściej do fabryk i do Prus – do Bukowiny, do Ostrawy!

Zarobek w Prusach taki i dawniej (przed 30 laty) gdy ludzie tak nie pchali się do fabryk, to zarabiał na rok 300 zł, a że przed 5 laty latem po 100 [illegible] – a teraz bardzo dobrze, gdy z całego roku przywiezie 30 kr. [illegible] sam się [illegible] odżywił. Powszechne we wsi przekonanie, że iść na zarobek – to znaczy umknąć się z domu, żeby ubyło jednej gęby do jadła.... Są wypadki, że chłop sprzeda krowy na podróż, wyjedzie i po paru tygodniach wraca o zebranym chlebie. Tu zostaje baba wygłodzona [illegible], a nie zostaje krowy...

Powstają kłótnie, bitki, ect.

Teraz często ludzie wychodzą ze wsi na zarobek. I to ludzie najsilniejsi – sami młodzi parobcy i dziewczęta. Wracają w podartym ubraniu, ze zmienioną gwarą.–

„W rozterkach“

(Lądy dziewicze, wiadomości aktualne)

Spokój. Chłopom ~~ani~~ Tatrzańskim ani się śniło o napaściach!.. Tylko legendy zasłyszane i baśnie przechodzą z ust do ust ~~chłop~~ [Tatrzan] ~~[illegible]~~, ~~gdy~~ wówczas mówi o wielkiej wojnie, a powiada o tem, co Tam słychać. „Co tam słychać?“ To nie jest pytanie z ciekawości zrodzone i od niechcenia. W pytaniu tem kryje się ~~[illegible]~~ nadzieja jakaś ~~[illegible]~~ niedookreślona, jakby spodziewanie się skądś nieświadomego polepszenia bytu. ~~[illegible]~~ W pozornem umyśle chłopa rodzi się pojęcie czegoś, „co przyjdzie“, nieświadomo skąd i ~~potężny jego byt~~ [niewoli jego dolę]... Stąd legendy o ~~[illegible]~~ tajemniczym „o wszystkiem“, to o jakimś wybawicielu z baśni, który się kryje między ludem... O ~~Tatry~~ [ostatniej] ~~[illegible]~~ symbolu... — i —



42
24
24
48
50



Pamiętny w kwietniu z ćwierci — ~~cztery~~ 4½ korcy.
Dziś — 2 ćwierci — 1½ korca [illegible]